

Nie wiem, ile miałam lat, gdy po raz pierwszy zwróciłam uwagę na portret pięknej kobiety wiszący w pięciopokojowym mieszkaniu mojej babci Adeli Dunin-Wąsowiczowej, znajdującym się na trzecim piętrze eleganckiej kamienicy przy ulicy Piotra Michałowskiego w Krakowie. Wisiał w salonie od zawsze, odkąd pamiętam, ale przez długi czas mnie nie interesował, aż wreszcie przyszedł dzień, gdy zapytałam kogo przedstawia.

– To moja mama – odpowiedziała babcia Adela wyraźnie uradowana.

Dotarło do mnie, że ona też kiedyś musiała być dzieckiem i mieć rodziców, choć z pozoru wydawało się to tak nieprawdopodobne, że zaczęłam się śmiać, a wtedy babcia wyciągnęła ze swojej wielkiej przepaścistej szafy sprzed pierwszej wojny światowej, stary album z fotografiami w skórzanej oprawie z połączonym mosiężnym herbem.

– A to ja – powiedziała wskazując na małą, dwu lub trzyletnią dziewczynkę siedzącą na podłodze u stóp swoich rodziców z rączką opartą na kolanie ojca, przystojnego, a przy tym postawnego mężczyzny – a to moja mama Helena.

Moim oczom ukazała się rodzina Hardtów z czworgiem dzieci. Z prawej strony, najprawdopodobniej trzydziestoletniej wówczas Heleny, ustawiła się przytuliwszy do matki, jej najstarsza córka, ośmioletnia Amalia. Pomiędzy siedzącymi rodzicami uplasował się młodszy od niej brat Stanisław Leopold, a do ojca przywarła Józefina, która przyszła na świat jako drugie z kolei dziecko Heleny i Edmunda Karola von Hardta. Sądząc z wieku urodzonej 16 marca 1890 Adelajdy zdjęcie wykonano około 1893 roku w Ploeszti w Rumunii. Po niej miało jeszcze urodzić się dwóch chłopców, Edmund i Adam, oraz trzy dziewczynki, Janina, Jadwiga i Antonina. Ta ostatnia przyszła na świat w 1900 roku w Paskanach, już po śmierci swego ojca. W międzyczasie Helenie przyszło pochować najmłodszego synka Adasia i córeczkę Jadwisę.

Piękna, wysoka i szczupła brunetka z włosami upiętymi w kok na czubku głowy i niewielką, można by powiedzieć, że przykrótką i niesformą przy tym, rozwianą na boki grzywką, ku mojemu zaskoczeniu, wiekiem bardziej przypominająca moją mamę aniżeli babcie, uśmiechała się do mnie przyjaźnie i od razu zawiązała się pomiędzy nami silna nić sympatii. Wtedy nie uświadamiałam sobie jeszcze, że osoba ta od dawna nie żyje, a wręcz przeciwnie odniosłam wrażenie, że znam ją od dawna i z całą pewnością kiedyś ją już widziałam, a jedynie nie mogłam sobie przypomnieć kiedy i gdzie. Doświadczyłam swoistego rodzaju de ja vu. Byłam zdziwiona, gdy w jakiś czas później pokazano mi grób Heleny von Hardt na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie, co miało ostatecznie rozwiać wszelkie moje wątpliwości, co do tego, że nasze spotkanie było raczej niemożliwe. Umarła w 1934 roku, a więc na długo przed moim urodzeniem.

– Przestań się upierać, że ją znasz – poprosiła moja mama, mocno przy tym zaniepokojona. Należała do osób, które z założenia wierzą tylko w to, co widzą. Babcia Adela natomiast była zdecydowanie mniej stanowcza w tej kwestii i od razu uraczyła mnie serią opowieści świadczących o tym, że istnieją rzeczy, o których ludzie a w tym tacy jak moja mama, nie mają zielonego pojęcia. (...)

Wiele lat musiało upłynąć zanim zdałam sobie sprawę z tego, że hrabianka Helena Zborowska, córka Józefa Zborowskiego i Marii Motyl była postacią wyjątkową i w pełnym tego słowa znaczeniu tragiczną. Poślubiła Edmunda Karola von Hardta wbrew woli swoich rodziców i z tego choćby powodu nie miała prawa powrotu na łono rodziny. W przeświadczeniu, że matka, Maria Zborowska, nigdy jej tego kroku nie wybaczy, wyjeżdżając do Rumunii zerwała wszystkie kontakty z rodzinnym Dubieckiem. Dzieliło ją zresztą od rodzinnego domu ponad tysiąc kilometrów, których przebycie w końcu dziewiętnastego wieku wcale nie było łatwe. Tyleż samo było do Wiednia, z którym od lat związany był Edmund Karol von Hardt.